

Wacław Sieroszewski



Łańcuchy

Wacław Sieroszewski

łańcuchy

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Wacław Sieroszewski
„Łańcuchy”

Copyright © by Wacław Sieroszewski, 1935
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakłady Graficzne „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy
Wydawnictwo: Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”
Warszawa, 1935

ISBN: 978-83-8119-402-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

OD AUTORA.

Powieść ta oparta została na materiałach, zebranych przeze mnie w czasach rewolucji od 1905 do 1908 roku oraz ze wspomnień moich wędrówek etapem po Syberji.

Wydać ją mogłem jednak dopiero w 1917 r.

Wypuszczam ją w nowym wydaniu bez żadnych zmian taką, jaką napisałem przed przewrotem Kiereńskiego.

Wacław Sieroszewski.

Warszawa 1925 r.

I.

Z pośród dźwięków posepnych i przejmujących dla rodzaju ludzkiego wszędzie i po wsze czasy — dźwięk łańcuchów rozbrzmiewa szczególnie żałośnie dla ucha polskiego.

To też, słysząc go, obracali się ludziska, zatrzymywali najbardziej śpieszący przechodnie, aby obrzucić smutnem spojrzeniem gromadę ludzi, idących kolumną środkiem ulicy Senatorskiej od Ratusza na Zjazd. Szli ciężko, miarowo w świtach więziennych, szarzy jak bruk miejski, z którego ich wyrwano, dźwigając na plecach wory płócienne, a na rękach i nogach żelaza. Otaczali ich szarzy, niezgrabni żołnierze, różniący się od nich jedynie tem, że nieśli na ramionach karabiny. Patrzyli więźniowie przeważnie w ziemię, albo przed siebie i niektórzy tylko rzucali chwilami szybkie złowrogie spojrzenia w bok na wspaniałe wystawy sklepowe i dostatnią,

snującą się po chodnikach publiczność.

W czołowym szeregu wyróżniał się od innych zwykłym, ciemnym ubraniem i zielonym podróżnym workiem wysmukły blady młodzieniec. Był to Józef Gawar. Wyrósł w więzieniu i zmęźniał. Nie miał kajdan na nogach, lecz skuty był za rękę krótkim zapięciem z idącym obok barczystym, brodatym złoczyńcą. Musiał więc machać z nim zgodnie ramieniem i krok do jego kroku stosować. Raz tylko spojrzeli sobie w oczy, gdy ich skuwano i od tej pory nie zamienili z sobą ani słowa, ani spojrzenia. Chłop szarpał wprawdzie od czasu do czasu za wspólne okowy i klął brzydko...

— Psia kość!... Licho nadało!... Skubenty... intalaganci... chodzić nie umiejom!

Lecz Gawar nie odpowiadał — chytrze biegające oczki i zwierzęca twarz sąsiada, odstręczające na nim sprawiły wrażenie; zresztą zbyt był wzruszony. Szeroko otwarte, pełne łez oczy wlepił w wylot ulicy, gdzie ciemne krawędzie domów odrzynały się na perłowo-pozłocistym niebie.

— Za ojczyznę... za ojczyznę... Nie ja jeden... Wszyscy tak... Cóż wielkiego?... „Okuty w powiciu...” — powtarzał, tłumiąc dreszcz wewnętrzny. Nie mógł sobie jednak z nim poradzić — z tym dreszczem. — Wir życia, w jaki wpadł nagle z głębokiej ciszy swej celi więziennej; upajające potoki świeżego powietrza, od którego odwykła jego pierś zwałowała; ciepłe, wiosenne podmuchy, głaszczące mu twarz niby miękkie pieścotliwe dłonie; znane zarysy murów; miłe perspektywy ulic, śmiejące się połyskiem wystawy sklepowe, spoglądające nań życzliwie szeregami okien — zdawały się wzywać go wielkim głosem, wołać napowrót, do siebie... Każdy krok rwał w nim jakieś nici,

darł jakieś włókna, wrośnięte w samo serce. Zamglona bólem myśl daremnie błąkała się wśród cudnych strof ukochanych poetów, szukając wyrazu... Nawet one wydawały mu się w tej godzinie żywego cierpienia martwymi dźwiękami.

— Stój, psia mać!... Pijanyś!.... Czy co?... Dokąd liziesz? Nie widzisz z kim idziesz? że z człowiekiem idziesz!?! — ryknął nań brodacz i szarpnął go tak mocno za rękę, że Gawar aż się wtył cofnął. Ocknął się.

— Przepraszam, ale proszę nie szarpać za bardzo... bo i ja też mogę...

— On też może?! A juści! Wypior!... — rozległ się śmiech z boku.

— Nu, nu!... Spokojnie tam! — krzyknął na kłócących się żołnierz konwoju.

Drogę im przeciął dudniący i rozdzwoniony czerwono-żółty tramwaj. Zatrzymali się na chwilę w wirze furkocących, mijających się i krzyżujących pojazdów, między którymi migali gęsto cykliści, świegocąc dzwonkami, błyskając obręczami kół, podobni do nisko nad ziemią lecących owadów.

Dokoła więziennej gromadki natychmiast poczęło się tworzyć zbiegowisko. Podskoczyli ku nim chłopcy z gazetami, terminatorzy i posługacze sklepowi, niosący pakunki; przypatrywali się im ulicznicy to jednym, to drugim okiem jako zaciekawione rzadkim widokiem ptaszęta, gwizdząc znacząco lub szepcząc między sobą... Kobiety w chustkach z ciemnymi, zapadłymi policzkami, robotnicy o oczach twardych, surowych, ocienionych daszkami czapek, panowie w kapeluszach, panie i panny, których blade twarze, wydelikaczone w czasie zimy, przymglone woalkami wyglądały w czarnym tłumie, w łunie

barwnych parasolek jak nikłe płatki kolorowych pierwiosnków...

Gawar ocknął się nagle i spojrzał przed siebie zupełnie przytomnie. Stali właśnie u szczytu Zjazdu Sino-pstra rzeka miejskiego ruchu, jednostajnie szemrząc, pięła się ku nim zdołu. Środkiem rwały w dwóch przeciwnych kierunkach dwa nurty kołowe, terkotały śpiesząc się i wyprzedzając czarne fale pojazdów i dorożek, sunęły brzęcząc i postępując wielkie wozy ładowne, mknęły szybko samochody, szarozielone lub sine, jak wielkie kry wiosenne a wśród nich płynęły w rzadkich odstępach, równo i prosto, wszystko roztrącając po drodze, niby wielkie parowce, wysokie, czarno-dache, szeroko oszklone tramwaje. Na trotuarach, jak skacząca i drobna fala nadbrzeżna, kotłował się, mieniając barwami, tłum przechodniów.

Wpadając na plac, wszystko roztrącało się o pylon Zygmuntofskiej Kolumny i zawracało potężnym nurtem na Krakowskie Przedmieście, oddzielając słabe jeno odnoże w stronę staromiejskich ulic. Płowy, jak stary gobelin, Zamek Królewski patrzył z oddala na mknący mimo niego ruch szeregiem zmartwiałych od wieków okien, a złotymi wskazówkami czarnego zegara na przysadzistej wieży wskazywał czas, który dawno już minął...

Ruszyli dalej. Z poza wysokiego Zamkowego tarasu, z poza opadających na dół dachów i murów budowli, z poza kamiennych balustrad i arkad wiaduktu wysrebrzała się w padole szeroka wstęga Wisły, niosąc na lustrzanych smugach drżące odbicia obeliskowych wież świętego Florjana, czarnej koronki Żelaznego mostu oraz bladej mgły wczesnej, wiosennej zieleni Praskiego parku.

Świeżym, miłym podmuchem wiało stamtąd od dalekich

lasów, z pod szeroko otwartego nieba pełnego płowych, skłębionych chmur o ciepłym połysku i złotych obrzeżach słonecznych.

Gawar przywarł obeschłemi nagle z łez oczami do tego znanego widoku i pił zeń słodką truciznę napełniającą serce jego ponownym drżeniem.

— Ucieknę!... — przestrzeliło go ostro błyskawiczne postanowienie. — Ucieknę... wrócę!...

— Ucieknę!... — powtórzył sobie już spokojniej, a myśl, że tam gdzieś w rąbkach swoich łachmanów niesie ukryty przed oczami nadzorców Regulamin Musztry, napełniła go błogą radością.

Wzburzenie ucichło, wyprostował się; łagodnym prawie przychylnym spojrzeniem obrzucił skutego z sobą zbrodniarza, który mu się również uważnie przyjrzał i gdy po chwilowym postoju znowu ruszyli dalej już go nie szarpał, a nawet zapytał:

— Skąd to pan?

— Ja?... Z Cytadeli!...

— Takim się domyślał!... A dokąd?...

— Nie wiem. Administracyjnie!...

— Acha. Dlaczegoż to pana kują?...

— Robią co chcą Czy to dla nich istnieje przepis, albo prawo!? Nawet własnych postanowień nie szanują...

— To prawda. Wiadomo — mungały!... A pan niech w krok stąpa, w krok, to będzie lepiej iść... — pouczał go.

Gdy znaleźli się na obszernym dziedzińcu przesyłkowego więzienia, już byli prawie znajomi i kryminalista dał Gawarowi szereg cennych wskazówek o Najłatwiejszym sposobie zdobycia

sobie miejsca na pryczy, o porządku oraz ilości wydawanych racyj pożywienia, o możliwości wysłania listu do miasta.

— Niech mi go pan da, a ja już dostarczę. Za pieniądze i djabli skaczą!

— Nie mam pieniędzy. Odebrali mi!

— No to panu przyślą z domu. Bez pieniędzy to tu źle... Niech pan napisze „gryps”; jak panu przyślą, to pan za przesyłkę zapłaci.

Gawar zgodził się i napisał parę słów do rodziców na skrawku papieru, jaki mu uprzejmie dostarczył jeden z sąsiadów.

Żałował wkońcu, że go rozłączono z nowymi znajomymi, ale tych jako skazanych sądownie poprowadzono do innej kaźni, a jego do innej.

Znalazł się w obszernej, niskiej izbie z bielonemi wapnem ścianami, oświetlonej dużymi zakratowanymi oknami. Pośrodku ciągnęły się w dwa rzędy wielkie i dość wysokie prycze, na których siedział i leżał więzienny tłum siermiężny. Roje aresztantów, rozmaitego wieku i powierzchowności wypełniały również przejścia między ścianami i pryczami; niektórzy stojąc rozmawiali ze sobą lub chodzili z kąta w kąt jak senne muchy, inni siedzieli na ziemi, mając u boków swe worki i węzłki. Niemało też mieściło się pod pryczami; z brudnych panujących tam cieni wystawały nazewnątrz szeregi łapsk obutych w zabłocone, koślawe bucioro oraz rude więzienne chodaki i trepy.

Zaduch, gwar głosów, niemrawy ale nieustanny ruch oszołomiły młodzieńca. Stał bezradnie niedaleko wejścia, szukając spojrzeniem wolnego kącika. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Sam nikogo tu nie znał i nikogo ze znajomych nie

spodziewał się spotkać. Jeżeli nawet byli tu jacy koledzy z cytadeli lub Pawiaka, to wątpliwa rzecz, czy oni jego albo on ich zdołaliby poznać, gdyż nigdy przecie nie mieli możliwości dobrze się sobie przyjrzeć. Oględziny przez okno więzienne w czasie spaceru lub przez szparkę we drzwiach w chwili przejścia przez korytarz pozostawiały zbyt mgliste wspomnienia. Postanowił mimo to poszukać ich.

— Czy niema tu czasem politycznych? — spytał jakiegoś draba w więziennym chałacie, stojącego nieruchomo pod ścianą.

— Jak pon mówi?... Politycni?... Nie znam... nie słyszałem. Jo nie tutejsy... — odburknął, nie zmieniając pozycji.

— A co pan chce od politycznych?... Pan skąd?... Jak się pan nazywa?... Pan sam też polityczny?... Czego panu trzeba?... Może ja panu mogę co zrobić?... — zwrócił się do niego, zatrzymując w przejściu, czarniawy kudłaty żydek.

Gawar nie odpowiadał, mierząc nieufnym spojrzeniem brudną twarz i biegające oczki po« średnika.

— Nu, nie mówi pan, to niech pan nie mówi! To i ja nic nie powiem... A może ja sam jestem polityczny... No, co jest?... Co pan tak patrzy?... Teraz politycni różni bywają... O wa! Ja widziałem takich politycznych, co czytać nie umieją... Ja panu prawdę powiem: widzi pan tego pana tam w kącie, to on jest polityczny... Niech pan do niego idzie!...

Odszedł, kiwając głową i kryjąc uśmiech w rozczochranej brodzie.

Gawar spojrział we wskazanym kierunku, ale wcale się tam nie spieszył, gdyż stojący tam osobnik, wysoki, rudy, piegowaty Żyd w żółtoczarnym, kratkowanym kostjumie marynarkowym, wcale w nim nie wzbudzał zaufania. Opowiadał coś otaczającym

go aresztantom, szeroko gestykułując kościstymi łapami i szczerząc żółte końskie zęby w zwierzęcym uśmiechu. Zielone oczki Żyda, błyskające przebiegle w beztrzęsych czerwonych powiekach, spotkały się; na krótką chwilę ze spojrzeniem Gawara. Podniósł wysoko rude brwi, aż mu się ruszyły odstające uszy i wyraz wytężonego zamyślenia przepłynął mu po twarzy. Potem pośpiesznie zaczął się przepychać przez tłum ku młodzieńcowi.

— Panie Gawar, co pan tu robi?... Niech pian idzie, tu jest parę towarzyszków, razem będzie lepiej!... — wołał głośno już z oddala

Gawar daimnie silił się przypomnieć sobie, czy widział kiedy tego człowieka.

— Towarzysz mnie nie zna, ale ja znam towarzysza, bo ja byłem wtedy w cyrkule, kiedy te łajdaki towarzysza biły, tylko ja nie mogłem nic pomóc towarzyszowi, bo ja byłem jeden i oni całkiemby mnie zabili, gdybym ja się zdradził... Nazywam się Finkelbaum; słyszał pan pewnie, ten... od... „Umstwiennawo raboczawo!...”

Mrugnął okiem i pociągnął Gawara za rękaw za sobą. Chłopak szedł z pewnem ociąganiem się, ale w duszy był rad, że w tym tłumie budzącym w nim strach i odrazę, znalazł choć cieniuchną niteczkę ideowej z kimś łączności. Coprawda o „Umstwiennym raboczym” nie miał pojęcia, lecz uspokajał siebie, że to są pewnie jakieś „żydowskie socjały” — „Bund albo es-deki”, zawsze lepiej, niż nic...

Finkelbaum przedstawił mu towarzyszy, jakiegoś Wątoraka i Wickiewicza, nadspodziewanie katolików i robociarzy, tęgich, posępnych i bardzo pewnych siebie. Zrobili mu miejsce na ziemi

w rogu sali, który zajęli wyłącznie na swój użytek.

— Niech towarzysz zdejmie worek i położy go tutaj razem z naszymi... Niech się towarzysz nie boi, my tu pokolei będziemy mieli oko na to, żeby nie zginęły... — radził mu Wątorek.

— Zaraz będzie herbata, to może się z nami towarzysz napije. Piegas już zamówił. To tak my Finkelbauma nazywamy, bez to że piegowaty...

Uśmiechnął się przyjaźnie i odebrał z rąk Gawara worek, żeby go położyć obok innych.

— Nie mam ani kubka, ani herbaty, ani pieniędzy. Wszystko mi odebrali w cytadeli.

— To towarzysz z cytadeli9... To może towarzysz tam Pioruna spotykał?... — spytał Wątorek z odcieniem powagi i szacunku w głosie.

— Co tam gadać! — przerwał mu gwałtownie Wickiewicz ze znaczącym w bok szturchańcem.

— Napijcie się z nami i szlus! Już zapłacone!

— Jakie mogą być rachunki między „idejnymi” ludźmi... Wszyscy za jedno cierpiemy... Tem więcej, że tu jeść nie destanie, aż jutro! — pocieszał go Finkelbaum, stawiając kubki i rozkładając cukier na oknie.

Wkrótce aresztant-posługacz przyniósł pękaty, emaljowany na niebiesko, imbryk, pełen gorącej wody. Zaparzano herbatę i poczęto się nią raczyć, pożyczwszy kubka dla Gawara od sąsiada. Wątorek poczęstował chłopca bubką, którą ten przyjął z wdzięcznością, gdyż był bardzo głodny.

— Jedzcie, jedzcie, towarzyszu! — przyzwolił kiwnięciem

głowy Finkelbaum. — Chcecie jajko na twardo, oto jest jajko na twardo.

Dziękuję, dziękuję!... Dostyc będę miał buk ki!... Nie chcę was objadać... Droga daleka!

— O tak, droga daleka, to też źle będzie bez pieniędzy.

— Mam pieniądze, ale w kantorze.

— He, he! — roześmiał się Żyd. — To jakby eh nie było... Ich nie wydadzą, aż na miejscu przeznaczenia. One ida przy papierach i niewiadomo jeszcze czy dojdą. Pieniądze z rąk tych „czynodrałów” trudno wy dostać... Tu za pieniądze uważa się to, co się ma na ręku...

— To też ja pisałem do rodziców! — bąknął, rumieniąc się, Gawar.

— Aa... pisaliście!... No to dobrze!... A przez kogo?

— Przez aresztanta... Czy dojdzie aby list? — Pewnie, że dojdzie. Wszyscy tak pisujemy! — pocieszał go Wątorek.

— A kiedy nas dalej powiozą?

— Kiedy?... Każdej godziny mogą. To zależy od tego jak się zbierze partja. A wy dokąd naznaczeni0 — spytał Finkelbaum.

— Nie wiem dokładnie... Powiedziano, że na Syberję... na pięć lat.

Żyd gwizdnął zcicha.

— Dobrze. I za co to tak?...

— Za oświatę.

— Za oświatę? To wyście, pan, nie byli w żadnej organizacji?

— Nie!.. Nie byłem — zgodził się ostrożnie Gawar.

Żyd pokiwał protekcyjnalnie głową.

— Ja rozumiem. To jest, że wy za te szkoły polskie... To nie jest wcale rzecz polityczna... To tylko taki nasz głupi rząd... nie rozumie, że to jest zupełnie rzecz burżujska, reakcyjna... narodowo-demokratyczna. Un, ten rząd zupełnie jest głupi, bo jakkolwiek oniby się uczyli, to oni zawsze jeszcze służyć mu będą w walce z proletariatem... Obaj oni są nasi wrogowie!...

— Każdy naród powinien uczyć się w swoim języku!... — bronił się Gawar.

— Co ro jest swój język? Swój język jest to ten, którego ja się dobrze nauczę...

— Jest język przyrodzony...

— Rozumie, się, jest język przyrodzony, matczyne!... — podtrzymał Gawara Wątopek.

— Ty jesteś głupi, Wątopek. Jak ty czego nie wiesz, to ty poco się odzywasz?... Czy ty będziesz się dla tego przyrodzonego języka zabijał? Czy kto słyszał, żeby dla przyrodzonego języka rewolucje robić!? Powiedz, czy jest w tym zdrowy rozum? Co?... Czy ty nie masz coś ważniejszego do zrobienia... dla nas, dla klasy pracującej?...

Tak dyskutując i rozmawiając, doczekali się wieczoru. Zapalono kopzące lampy naftowe, wstawiono do sali strasznie cuchnący kubek i po przeliczeniu więźniów zaryglowano drzwi na całą noc. Gwar ucichł; coraz mniej snuło się szarych postaci w przejściach między pryzmami, zwiększał się nieznośny zaduch i coraz głośniejsze chrapanie, bełkot senny i jęki wznosiły się i opadały wśród żółtawego zmroku na sali jak szmer rozkołysanej, cuchnącej sadzawki.

II.

Cały ranek z bijącym sercem czekał Gawar na wiadomość od rodziców. Wtem rozeszła się wieść, że dziś jeszcze dużą partję, a może wszystkich wyślą dalej na wschód.

— Nas na pewno przyłączą do partji, bo politycznych nie lubią tu trzymać! — zauważył, szczerząc zęby, Finkelbaum, który tę nowinę przyniósł z tajemniczej wyprawy na korytarz. — A do pana nikt nie przyszedł? Co?...

— Nikt!... — odszepnął Gawar, czując, że ogarnia go dziwna jakaś słabość.

— Mmcy! Szkoda! — cmoknął żyd, rzucając bystre spojrzenie na pobladałą twarz chłopca. — Ciężko będzie panu bez pieniędzy.

— Ech! Nic! Dam sobie radę!

— To pan nie wie, jak to jest, a ja panu mówię, że będzie bardzo źle. Może pan ma co do sprzedania, to tu jeszcze można sprzedać, a tam dalej to i sprzedać nie będzie można...

— Nie mam nic!...

— Jak nie, to nie!... Ja nie mam w tem żaden interes... Co można było pomóc, tośmy pomogli... Ja to panu mówię, że bez monety źle... Co. nie? — zwrócił się do swych towarzyszy.

— Juści, że źle! A my sami też dużo nie mamy! — wtrącił chmurnie Wickiewicz.

— Ależ ja nie proszę! Dziękuję za to, coście mi już wczoraj dali... Bardzo żałuję, że oddać nie mogę. Może z miejsca wygnania odeślę, adres zapiszę... — usprawiedliwiał się zarumieniony chłopak.

Żyd gwizdnął przeciągle, ale Wątorek wmieś szął się szorstko:

— Ot, głupstwo!.... Bułkę zjadł, herbaty kubek wypił, a taki o to robicie rwetes... A niby to socjały jesteście!... Uspokójcie się towarzyszu, już ja to biorę na swój rachunek, a wy tam komu innemu oddacie w potrzebiel Zgoda?! A no bywajcie zdrowi, bo to może nas rozdziela. Nie smućcie się: będzie wszystko jak ma być! Nie inaczej!... Jak było tak było, a ty ciągnij kobyło!... Co, nie? Bywajcie zdrowi! Już wołają!

Istotnie klucznicy chodzili od drzwi do drzwi i wzywali więźniów, aby wychodzili z rzeczami na podwórze.

Tam ustawiono ich w rzędy i starszy nadzorca wywoływał imiennie pokolei przeznaczonych do wysłania. Odstawiono ich na bok, gdzie żołnierze rewidowali im rzeczy, oglądali kajdany i zakuwali w ręczne łańcuchy.

Gawar nasłuchiwał z ciężkim uczuciem, czy wywołają go czy nie, i spoglądał z resztą nadziei ku wejściowej furcie. W chwili właśnie kiedy padło jego nazwisko, ujrzał w mgle zamętu snujących się tam postaci, czarny kapturek matki i jej ciemną kratkowaną chustę. Serce mu drgnęło boleśnie i radośnie, musiał jednak wyjść z szeregu i złączyć się z wskazaną mu gromadą. Jeden z żołnierzy rozwiązał mu worek i jął w nim wodzić rękami, drugi wziął z kupy krótkie ręczne łańcuchy...

A matka już go dostrzegła, już biegła ku niemu, wyprzedzając towarzyszącego jej grubego, czerwonego dozorcę.

— Nu, nul... Podożdzi!... Zaraz będzie! — wstrzymywali ją z dobroduszną szorstkością żołnierze.

— Ma go pani! Ten sam... Więc już odchodzę!... A niech pani przepustki nie zgubi, bo panią stąd nie wypuszczą!... — pouczał ją dozorca z miną łaskawego buldoga.

— Józiu, Józieczku!... Jesteś jeszcze!... Co ja się nacierpiała,

co ja się namęczyła, co ja się nalatała, zanim mię do ciebie dopuszczono! — szeptała, przypadając piersią do niego.

— Zaraz mię wywożą!... — mruknął cicho.

— Wiem, wiem!... Właśnie!... Nie chcieli mię puścić... Do nóg padłam temu oficerowi, dopiero wtedy pozwolili... Ale ojca nie puścili, on tam za bramą czeka... A co to? — spytała, nagle odstępując i spoglądając na złożone poniżej piersi ręce syna, które zdawały się ją odpychać.

Ból straszny zatargał jej twarzą jak wyblakłym starym łachmanem, przymknęła oczy, z których zaczęły się toczyć wielkie ciężkie łzy, poczem pochyliła się nagle i spieczonemi ustami jęła całować ręce syna i okalające je plugawe żelazo. Bronił się zmieszany, przejęty palącym cierpieniem matki, czując, że łkanie zatyka mu gardło...

— Matuchno, matuchno, daj pokój!.. Zaraz nas wyprowadzą, może i ojca zobaczę..., — gadał cichutko, chyląc głowę ku głowie matczynej... — Więc ci list odnieśli?...

— Odnieśli.

— Zapłaciłaś oddawcy?

— Zapłaciłam. Zebrałam wszystko co mogłam. Oto masz!... A tu bułka, kiełbasa, trochę cukru i herbata... Bielizny trochę... Niewiele, bo nie zdążyłam. Ciepłą koszulkę... Boże, tam, powiadają, straszne zimno..

— Teraz na lato idzie matuchno...

— Tam powiadają i lata niema, i słońca nie widać...

— Nie myśl tak matuchno... Nie tak tam źle! Tam już tylu rodaków było.

— Synu, synu, stara już jestem! Czy ja kiedy cię jeszcze

zobaczę, słonko ty moje?!

— Zobaczysz, zobaczysz... niedługo!...

— Jak?...

Odsunęła się odeń i spojrzała mu w twarz obeszłemi nagle z łez oczyma.

— Ucieknę, ucieknę!... — szepnął cichutko.

— Nie, nie!... Złapią cię, zabiją!... Bój się Boga, nie rób tego... Już siedź, wycierp całą karę...

— Za długo, matuchno!... Pięć lat... A mogą jeszcze dodać...

— Już ty siedź cicho, już ty swoje zrobiłeś... Niech inni teraz... Tylko się nie ożeń z moskiewką, nie zgub duszy swojej, dziecko moje...

— Dobrze matuchno. już dobrze — odpowiadał łagodnie. — Wrócę taki jak jestem! Będę pisał do ciebie z drogi i z miejsca zaraz, jak tylko będzie można.

— Pisz, pisz... Codzień pisz... Pamiętaj synu, że dusza moja z tobą będzie... pamiętaj!... więc jak przyjdzie list od ciebie, to ona jakby.

wróci do mnie!...

— Ty, stara, oddaj coś przyniosła i już idź, bo ich wszystkich zaraz popędzą! — zwrócił się do niej podoficer po polsku.

Więc znowu przypadła synowi do piersi, tuliła go do siebie rękami, a on, nie mogąc jej objąć, chylił się jeno niezgrabnie do nóg kochanych i tłukł okowami o ziemię.

Rozłączono ich wreszcie i Gawarowa, za, taczając się, odeszła ku bramie, gdzie już czekał na nią, pilnie przyglądając się zdała całej scenie, podobny do buldoga dozorca.

Do Gawara podszedł tymczasem dawny jego z łańcucha

towarzysz i spytał znacząco:

— Co? List doszedł?

— Doszedł, doszedł!... Dziękuję! Niech wam Bóg wynagrodzi!...

Wyciągnął do niego dłoń, w której zaszeleścił papierek.

— Bóg zapłać!... Szczęśliwej drogi! My katorżnicy zostajemy tu jeszcze, ale może dogonimy was gdzie w Niżnim, albo w Tobolsku, powiadają! To się zapytam o pana... Bywajcie zdrowi!....

Zdjął plackowatą, szarą czapkę więzienną i błysnął poczwarnie przez pół ogoloną głową.

— Smirno!... Strojsia!... — rozległa się komenda.

Załomotały i otwały się ciężkie wrota.

Na ulicach czekała na „partję” gromada ciekawych, trochę krewnych i znajomych. Gawar dostrzegł zaraz wśród nich rodziców, skinął im głową i już tak całą drogę szedł z utkwionymi w nich oczyma, a oni podążali za nim z boku trotuarem, kiwając mu głowami i dając znaki, że go widzą, że na chwilę nie tracą go z oczu i że nigdy nie stracą go z serca...

Zrozumiał to; uczuł w sercu ulgę.

Było chmurno, duszno, kroił deszcz i trudno było iść po śliskim nierównym praskim bruku. Dobrze, że choć nie skuli ich parami jak wczoraj!...

Szli dość długo.

Ostatni raz spotkał się z oczyma rodziców przed sztachetami dworca, gdy zatrzymali się, czekając na otwarciu bramy towarowej. Matka próbowała nawet przedostać się do niego przez łańcuch żołnierzy, lecz została wstrzymana. Przycisnęła

więc tylko do ust ręce i posłała mu parę pocałunków, a ojciec z czapką w ręku stal i patrzył nań jak zmartwiały.

— Bądź zdrow, synu, bądź zdrowi... Niech cię Bóg i Najświętsza Panienska mają w swojej opiece! — rozległ się przejmujący szept.

— Bądź zdrowa matko!... Bądź zdrow ojczel!...

W tej chwili wepchnięto więźniów na peron i brama się za nimi zawarła.

III.

Długi pociąg nawpół pasażerski, nawpół towarowy sunie z umiarkowanym pośpiechem, jęcząc, zgrzytając, dzwoniąc łańcuchami, warkocząc kołami, podskakując rytmicznie na spoidłach szyn. Przed stacjami zwalnia, gwizdże; na stacjach stoi długo, zacichły, jakby ogłupiały po niedawnym pędzie, podczas, gdy dookoła niego tu i tam rozlegają się marudne głosy i nawoływania służby kolejowej.

W aresztanckich wagonach zaduch, brud, ciasnota.

Zakurzone, zakratowane okna siekają z zewnątrz gęste i mocne sznury dżdżu.

Gawar patrzy w ten szary kwadrat światła, przyćmiony szarugą, gdzie ledwie w zarysach mającą pustę wstrętne martwe place przystacyjne, suną niby wstęgi kinematografu ciemne smugi lasów, plamy nagich jeszcze pól, białawe kubiki chat wioskowych, szpalery przydrożnych drzew i... słupy telegraficzne, słupy telegraficzne bez końca... na tle ołowianego nieba.

Gawar patrzy na nie dość obojętnie, choć rozumie, że nie

ujrzy ich długo... może nigdy. Ale wszystko w nim zbyt jest rozbite, roztrzęsione, aby coś jeszcze mogło zwiększyć jego ból wewnętrzny. Z trudnością zbiera myśli rozproszone jak stado gołębi, z trudnością trzyma się nieruchomo na miejscu, podrywany przez nierówne i szarpiące uderzenia serca... Cieszy się, że już ma spokój, że już się „to wszystko” skończyło, a jednocześnie łka w nim jakiś szloch niewstrzymany i spływa w wirze jego do głębi zmaconych uczuć widmo bladej, zbolącej twarzy matczynej i postaci ojca, ogłuszonego, stojącego bez ruchu opodal z czapką w ręku...

— Ucieknę! — powtarza sobie z uporem — ucieknę!...

Ogląda się po wagonie jakby zaraz to miał uczynić. W kłębach dymu tytoniowego widzi wszędzie szare twarze i szare aresztanckie ubiory, do których się przyzwyczał; gęsto siedzą ludzie na ławach, a na półkach i po kątach leżą grudy szarych worów i węzłów. Przy drzwiach w obu końcach stoją żołnierze, tacy sami szarzy jak tłum więziony, z takimi samymi prostackimi twarzami, oparci na karabinach z najeżonymi bagnetami.

Milczące przygnębienie pierwszej chwili odjazdu minęło. Rośnie szmer głosów, zmieszany z cichym brzękiem łańcuchów, z chrobotaniem i postukiwaniem naczyń blaszanych: kubków, czajników, menażek. Tu i owdzie wybuchają urywane rozmowy, wykrzykniki, tłumione śmiechy. Są i tacy, co wyciągnąwszy chleb, kiełbasę lub ser z zawiniątek, posilają się spokojnie.

Gawar patrzył na nich wszystkich z głęboką odrazą. Czuł się wśród tego tłumu zupełnie samotnym, a jednak ten tłum był dokoła niego, szemrał, poruszał się, żył, dolegał mu jak natarczywe brzęczenie owadów choremu, przeszkadzał jego

myśłom smutnym lecz silnym, jego uczuciom wzburzonym, płynącym z nieznanym mu źródeł i głębin — przeszkadzał im dojrzeć, spoić się, ugruntować i dać mu pewną podstawę do sądów, do postanowień, do tak upragnionego spokoju... Wszystko więc w duszy musi pozostać jak dotąd, poruszone i niewyraźne, nieś pewne jak zaorana po raz pierwszy nowina, chociaż ból ogromny, co przeszedł tam jak burza, pozostawił większą niż kiedykolwiek tęsknotę do jasności...

Gęstniał dym tytoniowy, gęstniał zmrok, gęstniał zaduch. Gawar z trudem oddychał, paliło go nieznośne pragnienie; więc z imbrykiem w ręku przedarł się przez ciżbę już na noc układających się aresztantów w koniec wagonu, gdzie przy drzwiach lokowali się żołnierze komwoju, oblegani przez aresztantów proszących natrętnie i przypochlebnie o kupno w bufecie na stacji papierosów, chleba lub wody gorącej do herbaty...

Tu królował wszechwładnie tęgi kościsty podoficer z jasnym konopiastym wąsikami nad grubymi wargami.

— Za późno!... Czegoś czekał?... Zaraz ruszamy!... Na przyszłej stacji! — odburknął na nieśmiałą prośbę Gawara o kupno gorącej wody.

— A dlaczego nie rozkuty?... — zwrócił się w bok do żołnierza, prześliznąwszy się wzrokiem po zakutyh rękach Gawara.

— Nie wiem, Spirydonie Ferapontowiczu... — Nie powiedział.

— Dlaczegoś nie powiedział? Języka w gębie nie masz? O każdym z was pamiętaj!... — huczał podoficer.

— Nie podchodził nikt, nie pytał... — bronił się chłopak.

— Jeszcze się pytać każdego z was trzeba!... Wezmę i za

karę zostawię cię tak do jutra... Zobaczysz jakie to smaczne.

— Polityk pewnie, dlatego nie wiedział... — łagodził jeden z konwoju.

— Wszystko dla mnie jedno — polityk nie polityk!... Powiedziano w przepisach: w czasie drogi z ręcznych kajdan rozkuć, to rozkuć. Jaroszka bierz klucze i otwieraj!...

Tak się skończyła historia, która w zasypiającym już wagonie powszechnie wznieciła zainteresowanie.

— Dlaczego nie prosicie, żeby was przeniesiono do drugiego wagonu, tam są politycy. A tutaj wy sami jedni! — radził Gawarowi dobrodusznie żołnierz, który mu przyniósł na następnej stacji imbryk wody gorącej.

— To można się przenieść?... — spytał chłopak, wsuwając doradcy drobną monetę.

— Można. Wszystko zależy od starszego — on tu pan. Ale teraz to może już nie warto. Nasz się na was rozgniewał. Poproście w Mińsku po zmianie warty.

Józefowi nie śpieszyło się; czuł się tak bardzo znużonym, że wszelkie obcowanie z ludźmi wprost go przerażało. Musiałby odpowiadać na pytania, zadawać je, wnikać w cudze myśli — nie miał sił na to i ochoty. Postanowił zostać do rana; miejsce zajmował dobre przy oknie, skąd przez szpary ciągnęło trochę świeżego, chłodnawego powietrza. Podsunął sobie worek z rzeczami pod łokieć i spróbował usnąć. Wtem drab, siedzący obok niego na ławie, szturchnął go w bok.

— Panie, mech pan te rzeczy z pod siebie zabierze, to tu będzie można się wyciągnąć!

— Gdzież je podzieję?

— A gdzie pan chce: na półkę pod ławkę, albo tam w kącie, gdzie pan chce! Tu na siedzeniu nie ma miejsca na nie.

Józef wstał i spróbował rzeczy wsunąć na półkę, lecz stamtąd wychyliła się natychmiast rozczochrana głowa z głośnym przekleństwem:

— Czego pchasz?... Nie pchaj!... Nie widzisz, że zajęte?!

Opuścił więc rękę z tobołkiem na dół i chciał go wetknąć pod ławkę, ale stamtąd wychyliła się głowa, tym razem nawpół ogolona i grube mocne ręce, które gwałtownie odepchnęły z powrotem jego worek.

Na podłodze między ławkami olbrzym w szarym chałacie szykował się do snu, układając starannie pod głowę kupę łachmanów.

Józef rozglądał się po wagonie, oświetlonym mdłym blaskiem lamp naftowych i wszędzie widział wyciągnięte ciała, pochylone karki, wsparte na poręczach głowy, ale nigdzie kawałeczka wolnego miejsca. Nie miał więc gdzie rzeczy umieścić!

Tymczasem sąsiad, korzystając z nieobecności Józefa, wyciągnął się na siedzeniu, zajmując całą ławkę.

Podkulił tyle tylko zakute w kajdany nożyska, że skromna figurka, mieszcząca się na drugim końcu przy przejściu, ledwie utrzymać się tam mogła.

Dla Józefa nie zostało ani cala miejsca. Ale przebrała się miara jego cierpliwości. Tuman wewnętrznej rozterki opuścił go nagle, wróciły siły i energja. Po króciuchnym namyśle położył worek wprost na szerokiej twarzy, bielejącej na dawnym jego miejscu.

— Co robisz, szczeniaku? Nie widzisz, że śpię? — krzyknął

aresztant i zrzucił worek na wyciągniętego wdole olbrzyma.

— Odknaj, odknaj, mały, z dobrej woli!... — Mówię ci ze spokojem!...

— To moje miejsce, proszę się usunąć! — nastawa! Józef.

— Proszę, nie proszę... A gdzie jest prosie?... Kogo nie proszą, tego kijem wynoszą!... — przedrwiwał go zuchwały sąsiad.

Już zamierzał Józef, pomimo wstrętu do wszelkich skarg, zwrócić się do konwoju o interwencję, gdy chuderlawy aresztant, drzemiący na przeciwnym końcu ławki, pchnięty niespodzianie kulasami rozgniewanego dryblasa, kiwnął się i spadł z wielkim hałasem na podłogę.

— Aj waj!... Co to jest?... Rozbój!... Panie konwój!...

Jeden z żołnierzy, którzy również już układali się do snu, uniósł głowę nad poręczą przedziału i huknął groźnie:

— Cicho tam, parchy!... Ja was nauczę...

— On tu wszystkich powyrzucał. On tu całe miejsce zabrał, on tu leży jak hrabia, a pan polityczny nawet stoi!... Czy to porządek, panie konwój?...

— Nu, nu!... Dosyć! Wszyscy siedzieć mają, takie prawidło! Słyszeliście!...

— Właśnie, panie służba. Ja im mówię, żeby pokolei spać a oni niepotrzebnie hałas robią, te żydy... — tłumaczył się wyciągnięty na ławie aresztant.

Widząc jednak, że Józef nie myśli ustępować i pcha dalej swój worek na dawne miejsce, podniósł się, usiadł i mrużąc przekleństwa, zrobił mu miejsce.

— Śmierci na was niema, cholery, polityki. Wieszaćby was

wszystkich!

Żydek skorzysta! z położenia, rozsiadł się zaraz wygodnie i spróbował zadzierzgnąć z Gawarem mocniej niż porozumienia przeciw wspólnemu wrogowi.

— Nie warto spać. Niedługo Mińsk, a tam będzie sroga rewizja. Przed rewizją to tu zawsze kradną. Trzeba pilnować. Ja myślę, że lepiej spać we dnie, to i miejsca więcej będzie i spokojnie. A teraz lepiej siedzieć. Pan skąd?... Czy pan z samej Warszawy?

— Tak, z samej! — odmruknął mu Józef.

Znużenie zmogło go, nie mógł wykonać rozsądnej rady żydka, oparł głowę na trzymanym pod łokciem worku, zdrzemnął się, a następnie ukołysany miarowym ruchem pociągu zasnął tak mocno, że nie obudził go nawet ciężar sąsiada walącego się nań z boku i chrapiącego nad samym jego uchem jak stare rozbite organy.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

